

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Chryste, o Chryste.

Z barłogu mego, z czarnej nędzy ctehlani
Do ciebie wołam krwawym serca płaczem,
Jako żeglarze wichrami chłostani,
Jako pielprzymi w zblakaniu tułacem,
Z głębi mej duszy w przestwory gwiazdziste
Do ciebie wołam krwawym serca płaczem:
Chryste, o Chryste!

I choć przesytytem zmaczone aż do dna,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilia wodna
Co, lodygami grzęznąc w mętnej bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilia wodna
Co, lodygami grzęznąc w mętnej bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie niebo i ziemia mi zbrzydły,
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Więc jak ptak błędny z podartymi skrzydły,
Do nóg Twych padłszy, dach mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy bólem szkliste...
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Chryste, o Chryste!

Usta do stóp Twych przebitych przełożę,
Słodki Twych oczu spokój mnie ogarnie,
Znakany jestem, w nad hmurne przestworze
Rwałem się myślą, i spadałem marnie,
Seigałem ziemskich złud ogniki mgliste...
Słodki Twych oczu spokój mnie ogarnie,
Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrze-
[żnych!
Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,
Lecz mnie nie strącaj z bieli szat Swych śnieżnych,
Stwórz we wnętrzościach moich serce czyste,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrze-
[żnych,
Chryste, o Chryste!

Jam kwiat wędzący na życia lodydze,
Weź mnie do Siebie, bom już pójść ztąd gotów,
Dość mi obłądów, które w koło widzę,
Dość mi już własnych upadków i wzlotów,
Weź mnie na ciszy łono wiekuiste,
Weź mnie do Siebie, bom już pójść ztąd gotów,
Chryste, o Chryste!

Lucyan Rydel.

Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy.)

Nareszcie uspokoił się pan Kaliński, odebrał list i przeczytał co następuje:

„Drogi mój przyjacielu i dobroczyńco! Bogu niech będą dzięki za to, że pozwoli mi jeszcze ujrzeć i przycisnąć do serca mojego syna, jako też i za to, że będę mógł uścisnąć twoją dłoń przezacną. Wiadomość, którą od ciebie odebrałem, spadła na mnie niespodziewanie, nie miałem już bowiem żadnej nadziei, abym kiedykolwiek mógł powrócić do kraju. Los postąpił ze mną okrutnie, chociaż może to i szluszna kara, że nadewszystko pragnąłem się zbożać, nie poprzestając na skromnym, spokojnym życiu. Oj, wycierpiałem też niemało! Ale nie będę już opisywał moich przygód, bo przecież Bóg da, że wkrótce ja będę mógł wam opowiedzieć. Wiem, że po odebraniu tego listu wyślesz mi pieniądze na podróż do Europy, ale czemu ja ci się wywdzięczę za twoją dobroć, doprawdy nie wiem... W głowie mi się męczy od nadmiaru szczęścia. Napisz mi, przyjacielu, czy Jasio zdrowy, i gdzie na mnie czekać będziecie? Takbym pragnął was uściskać jak najprędzej! A dziadkowie? Boże, czy ich jeszcze zastanę przy życiu? Ze sprzedaży mojej fermy otrzymam może trochę pieniędzy, ale tu tak trudno o nabywcę! Do widzenia drogi przyjacielu!

Drzewiński.“

Pan Kaliński dwa razy przeczytał ten list i natychmiast poszedł do mieszkania kapitana, aby tam swobodnie odpisać odnalezionemu, przesłać mu pieniądze i donieść, że czekać nań będzie w Marsylii.

Opiekun Jasia był tak wzruszony, że nie mógł w zupełności ukryć swoich uczuć. Zabrał kapitana z sobą na obiad, śmiał się, żartował wesoło. Wesołość ta udzieliła się i Jasiowi; atoli zniknęła pod koniec obiadu, gdy z rozmowy dowiedział się, że jeszcze nie prędko z Marsylii odjadą.

— Proszę pana — szepnął, pociągając delikatnie pana Kalińskiego za rękaw — to mi jeszcze nie wracamy do dziadków? A pan mówił, że już w sobotę jedziemy?

— Tak — mówiłem — ale teraz tak mi wypadło, że muszę zostać czas jakiś.

A widząc, że Jaś bardzo się zaśmucił tą wiadomością, dodał prędko:

— Zostaniemy, ale na krótko, mój Jasiu. Na święta będziemy w domu i mam nadzieję, że spędzimy je wesoło.

— Ach, jak ja się cieszę, że będę miał cho-

inkę! — zawołał Jaś z radością. — I na choince pewno co znajdę!

— Być może — odpowiedział pan Kaliński z uśmiechem, a w duchu dodał:

— Ani się sierotka spodziewa, jaka radość go czeka!

— Należałoby jednak przygotować nieco Jasia do radości, która go czeka — rzekł jednego dnia pan Kaliński do kapitana — ale doprawdy, nie wiem, w jaki sposób to uczynić?

— W istocie, trudne to zadanie — odpowiedział, kiwając głową kapitan. — Jeśli mu pan oznajmisz, że miałeś list od Drzewińskiego, będzie się już napewno spodziewał jego powrotu, a któż jest pewnym jutra?

— Chłopiec posmutniał i pomizerniał, ciągle się pyta, kiedy wyjedziemy z Marsylii i czy zdążymy na choinkę do domu? Odpowiadam twierdząco, ale pomimo to widzę, że nie odzyskał wesołości.

Wieczorem tego samego dnia pan Kaliński spostrzegł, że Jasio, mówiąc mu dobranoc, miał łzy w oczach, które usiłował ukryć przed wzrokiem opiekuna. Panu Kalińskiemu żal się zrobiło chłopca, postanowił zatem pocieszyć go trochę.

— Mój Jasiu — rzekł — muszę ci powiedzieć jedną rzecz, która cię z pewnością ucieszy... Chłopczyk spojrział zadziwionym wzrokiem.

— Nie domyślasz się, co by to mogło być takiego?

Twarzyczka Jasia rozpromieniła się odbłyśkiem radości.

— Już wiem! — zawołał — jedziemy do babuni.

— Nie omyliłeś się, pojedziemy wkrótce do babuni, ale oprócz tego mam dla ciebie inną dobrą wiadomość.

— Nie wiem... nie wiem, co by to być mogło, — powtarzał chłopczyk, zastanawiając się nad zagadkowymi wyrazami pana Kalińskiego.

— Chyba że... że... pan miał list od tatusia! — zawołał po chwili milczenia. — O, mój drogi, kochany panie, niech mi pan powie prędkiej, że to prawda.

I w uniesieniu radości Jasio rzucił się na szyję swemu opiekunowi.

— Listu nie miałem — odrzekł pan Kaliński, którego wybuch Jasia przestraszył trochę — ale mam się właśnie tu w Marsylii spotkać z kimś, który mi obiecuje udzielić pewnych wiadomości dotyczących twego ojca. Z tego powodu ociagam się z wyjazdem.

— O, jeśli tak! — zawołał znowu Jasio — to już nie pragnę ztąd wyjeżdżać, choćbym się miał spóźnić na choinkę do babuni!

Pan Kaliński pogłaskał jasne włosy chłopca i rzekł:

— Może też da się wszystko pogodzić, może zdążymy na święta do dziadków. A teraz idź już spać moje dziecko!

Gdy Jaś udał się na spoczynek, pan Kaliński czuwał jeszcze dość długo w nocy, gdyż ciągle mu się zdawało, że Jaś może być słaby ze zbytniego wzruszenia. Ale chłopczyk spał spokojnie.

Po tej rozmowie Jaś stał się weselszym i spokojniejszym, a na pobladał jego twarzyczkę powróciły znów rumieńce.

Pan Kaliński, wysyłając pieniądze dla Drzewińskiego, dołączył także swój dokładny adres, aby ojciec Jasia mógł zawiadomić drogą telegraficzną o dniu swego wyjazdu z New-Yorku.

Wreszcie nadszedł list uprany, w którym Drzewiński donosił w krótkich słowach, że sprzedał swoją fermę niezbyt korzystnie, ale że w każdym razie na sprzedaży nie stracił i że natychmiast wyjeżdża do New-Yorku, skąd wyśle telegram, drugi zaś z Hawru, skąd już koleją dojedzie do Marsylii. Podług mego obliczenia, pisał Drzewiński, powinienbym uściskać was za dwa tygodnie.

Ma się rozumieć, że tego listu pan Kaliński nie pokazywał Jasiowi.

— Powrót Drzewińskiego oznaczam mniej więcej na połowę grudnia — rzekł do kapitana. — W takim razie zdążylibyśmy jeszcze na święta do kraju.

Kapitan wybierał się właśnie w drogę do Tryestu.

— Powrócę w sam czas, aby poznać Drzewińskiego — rzekł, żegnając się z panem Kalińskim.

Jednego dnia, po długiej i męczącej przechadźce, Jasie wcześniej, niż zazwyczaj, udał się na spoczynek, pan Kaliński zaś chciał jeszcze napisać list do dziadków chłopca, aby się podzielić z nimi wiadomościami, otrzymanymi od Drzewińskiego. Zasłonił więc umbrellką lampę, aby światło nie raziło chłopca i zabrał się do pisanja.

Zaledwie atoli skreślił kilka wyrazów, dało się słyszeć pukanie do drzwi i służący wszedł do pokoju.

— Przyniesiono dla pana telegram — rzekł listonosz czeka na pokwitowanie.

Pan Kaliński pokwitował spiesźnie i szybko przebiegł oczyma telegram.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Stary Bryś.

Opowiadka.

W dużej, pięknej, murowanej dworskiej stajni, gdzie przy żłobie stały piękne konie, kilku fornali, to siedząc, to leżąc sobie na sianie, rozpowiadali sobie przeróżne historye.

Stary Tomasz Gładka, przymroził lewe oko, uśmiechnął się, i rzekł:

— A teraz ja wam powiem taką bajkę, jakiejście nie słyszeli.

— Powiem wam o starym Bryśiu!

— No gadajcie, gadajcie, pewnikiem to będzie coś bardzo wesołego bo wam się oczy śmieją.

— No słuchajcie. W jednej wsi niedaleko od Wisły.

— To może tu u nas, w Słupi?

— Ale, bajte baję! Jedna Słupia leży nad Wisłą? — leży może sto wsi!

— A to nieprzerywałbyś Józek.

— Otóż w jednej wsi nad Wisłą, stała chata zamożnego gospodarza — a chaty tej, i jej całego dobytku, strzegł od złych ludzi, i od złej przygody, poczciwy, czujny, wierny Bryś.

A strzegł on tej chaty pewnie już niemало lat, bo przy nim małe źrebaczki stały się dużymi końmi; dzieci co z Brysiem igrając przewalały się po ziemi, powyrastały już; sam Bryś stracił siłę i rzeźkość, głos mu się stał chrapliwy; sierść na grzbiecie przerzedła; stare nogi nie bardzo mu służyły, ale jednak swój obowiązek spełniał zawsze wiernie, jak za młodych lat.

Aż tu jednego razu gospodarz wstając od misy, przeciągnął się dobrze, aż mu kości zatrzęszczały, i rzekł:

— Nasz Bryś bardzo już stary. Nam trzeba będzie dostać skąd młodego psa.

— Ha, no dobrze, ale co będzie ze starym? Czy go zabijesz? czy go utopisz? — pyta baba.

— Ej nie, trzeba go będzie wygonić!

— Co go tam masz wyganiać, jego sam głód wygoni, jak mu jeść nie dam.

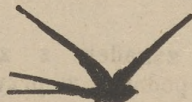
I tak się też stało.

Jeszcze jakiś czas lizał Bryś próżną miskę... jakiś czas chleptał pomyje... żywił się na śmietniku czem mógł — nareszcie widząc, że daremnie spogląda smutnymi oczyma, zawył żałośnie i poszedł w świat szeroki, gdzie oczy poniosły.

Idzie on ci ku lasowi, idzie, idzie, nogi mu się płaczą, boki ma wpadnięte, łeb ku ziemi spuszczone, a lzy ciurkiem mu z oczu płyną.

Płacze na niewdzięczność ludzką!

Idzie, idzie... aż pod samym lasem spotyka się z wilkiem, który zdziwiony, staje na drodze, macha puszystym ogonem i pyta go:



— A dokądże to wędrujesz panie Brysiu?
— Dokąd? A już do lasu. Głód straszny wygnał mnie z chałupy, więc idę.

— Głód? To nie macie tam chleba?
— Ale, chleba jest dosyć w chacie; ale nie ma go dla mnie. Jużem się zestarzał, i do niejkiej pracy nieprzydatnym.

— Aleś przecie pracował za młodu i szczerze. Czyż ja to nie pamiętam? Wszak nie daleś mi wziąć ani cielęcia, ani jagniątką, ani nawet marnej gęsi z waszego obejsia — jenoś szczeakał i szczeakał jenoś wył i ujadął, że ci się o mało pysk na dwoje nie rozdarł. I teraz jeść ci nie dają? Czyż warto to ludziom służyć tak wiernie? powiedz mi.

— Tak już Pan Jezus przykazał: jak służyć, to uczciwie i wiernie.

— A oni cię na starość wygnali? Oj, ci ludzie, ci ludzie!

— Ha, to już nie mój grzech będzie, — odrzekł dobry Bryś.

— No i dokądże ty pójdziesz teraz?

— Do lasu... Tam się położę i zdechnę.

— Żal mi cię bracie — mówił wilk — a w błyszczących jego ślepiach zajaśniała łza litości. Słuchaj, ty nie jesteś leśny zwierz — nie potrafisz sobie nawet lichej zajęczyny upolować; tyś w chacie wychowany, do chaty wracać ci trzeba.

— Brysiu, powiedz mi, są tam u was dzieci w chacie?

— A na co mnie ty wilku pytasz o to? Może chciałbyś dzieciom mego gospodarza co złego zrobić? — zapytał Bryś podejrzliwie — no, i nie dziwnego, jak tu wilkowi wierzyć?

— Nie, nie chcę nic złego zrobić — tak się jeno pytam. Powiedz, są dzieci?

— Nie powiem ci, ty na zdradzie im stoisz.

— Nie bój się, bez ciebie do wsi nie pójde, nic złego nie zrobię; głodny nie jestem, bo mam całe żrebie zakopane w lesie — i ciebie bym niem poczęstował, ale twarde, a ty zębów nie masz. Zdrady we mnie nie ma, boć ja wilkiem jestem, nie człowiekiem, więc dałbym ci taką radę. Idźmy obaj do wsi, ja się będę skradał koło waszej chaty, ty narobisz wrzasku, dzieci się przestraszą, chłopcy wylecą z kijami, ja ucieknę, a ciebie nazad znowu przyjmą do służby, widząc, że jeszcze dobrym stróżem jesteś.

— Mądry jesteś wilku, jakbyś do szkoły chodził... ale nie ty złego nikomu nie zrobisz? ani ludziom, ani gadzinie — pytał jeszcze dobry Bryś.

— Nie zrobię, nie! — rzekł wilk — i zaklął się jakimś wilczym słowem, tak jak kiedy to żyd mówi: „auf mane munes“, albo też „pod Hairem“.

Wtedy już Bryś całkiem mu uwierzył; uspo-

koił się, ta i idą sobie obaj ku wsi w dobrej komitywie.

Było to właśnie nad wieczorem, kiedy to i bydłota i ludzie z pola do domu wracają — przy chacie Brysiowego gospodarza był ogród, na ogrodzie białło się płótno, na płótnie bawił się dwuletni Jasio — potem sobie usnął, i leżało niebożatko śpiące, zakrywszy piastkami oczka od blasku zachodzącego słońeczka. To dziecko na płótnie zobaczyło one wilczysko, i czając się niby legawy pies do karopatwy, zbliżało się ku niemu pełzając na brzuchu... a oczy mu się dziwnie świeciły, jak dwie świeczki gorejące!

Widział to Bryś, serce mu się kołatało o te chude ziohra nie wiedział czy wierzyć wilczemu słowu? A nuż wilk to dzieciątko? O! jak on to się czerwonym językiem oblizuje!

Ale wilk, choć, to leśna bestya, pamiętny na swoją przysięgę, porwał ostremi zębami tylko za sam brzeg płótna, i ciągnie... ciągnie... a dziecię ono śpiące, sunie się ku niemu.

Tu, jak nie zacznie, dusznie przestraszony nasz Bryś drzeć się na całe gardło, a szczeakać, a wyć jak na wilka się godzi, podniosłszą mordę w górę... Jak tu nie wypadną chłopcy z kijami i cepami!... jak nie zacznie krzyczeć w niebogłosy matka, zobaczywszy, że ono dziecię, on, jej Jasio kochany, prawie już przy wilczej paszczy!... jak nie zaczęą gonić wszyscy, tak wilczysko w nogi! Matka porwała Jasieńka na ręce, chlapy za wilkiem... i pono mu się tam coś nie coś dostało po grzbiecie za jego dobre rady. Cóż robić, dla przyżni trzeba coś przecierpieć; ale za to Brysia uważano jako zbawcę Jasia: głaskano go, pieszczono i do śmierci mu chleb łaskawy obiecano.

Więc gospodyni dała mu chleba sporą kromkę z masłem; więc Maryska dała mu miskę sporą kwaśnego mleka; więc starsze chłopcy przypomniały sobie dawne z Brysiem figle, i wszyscy wołali:

— Dobry Bryś! pocziwy Bryś! kochany Bryś! uratował nam Jasia! Wreszcie Bryś ugłaskany, nasycony, położył się obok kołyski Jasia i zasnął szczęśliwy.

Spał smacznie, a śniły mu się takie piękne rzeczy, że się aż przez sen śmiał, wyszczerzając zęby. Tylko to psiemu sercu było markotno, że łaskawy chleb winien był nie uczciwej pracy całego życia, ale wrzekomemu uratowaniu Jasia — i dobrej radzie wilka.

Rozwiązanie zagadek z zeszłego numeru „Anioła Stróża“ podamy w przyszłym numerze.